

Marek Zając

Nie bać się wcale!

Marian Turski

1926–2025



Marian Turski na posiedzeniu Rady Społecznej ds. utworzenia Muzeum Miejsca Pamięci KL Płaszów w 2017 r., fot. Katarzyna Bednarczyk

Odszedł mędrzec, który mądrość pił z gorzkich źródeł cierpienia, ale sam nigdy nie zgorzkniał. Strażnik, który niezłomnie strzegł Pamięci, ale zawsze patrzył w przyszłość. Autorytet, który trwał przy wartościach, ale nie miał nic z inkwizytora.

31 sierpnia 1944 r., trzecia nad ranem. Transport z Litzmannstadt Ghetto wtacza się na rampę. Zanim z ogłuszającym zgrzytem żelaznych rygli otworzą się drzwi bydlęcego wagonu, osiemnastoletni Mosze Turbowicz już wie, co się za chwilę wydarzy. W getcie należał do organizacji Lewica Związkowa; wspólnie z towarzyszami prowadził potajemny nasłuch radiowy i raz trafił na szczegółowy raport BBC o zbrodniach w Auschwitz. A zatem Mosze Turbowicz już wie, że za chwilę stanie na krawędzi między życiem i śmiercią.

Po następnych niemal siedmiu dekadach, z których większość przeżyje pod imieniem Marian i nazwiskiem Turski, opíše tamte chwile w krótkim wspomnieniu *Mój najszczęśliwszy dzień* – zatytułowanym przewrotnie, ale co do meritum zgodnie z prawdą, o czym za chwilę. Na razie razem z Autorem przenieśmy się na rampę w Birkenau, gdzie rozpoczyna się selekcja:

Po wyzwoleniu będą mnie pytali: czy na ciebie wskazywał pateczką sam Mengele? Nie mam pojęcia, nie miałem odwagi spojrzeć na twarz esesmana...

Z pozoru to dwa zwykłe zdania złożone, ale odzwierciedlają ważną cechę Mariana Turskiego. Opowiadając o przeszłości, był uczciwy

i precyzyjny. Szanował fakty i wszystko skrupulatnie weryfikował – w przekonaniu, że prawda stanowi jedyny trwały fundament Historii i Pamięci. Kilka dekad po wojnie mroczna legenda Josefa Mengelego była tak przemożna, że niektórzy z Ocalałych uwierzyli, że to właśnie on dokonywał selekcji ich transportu, nawet jeśli w tamtym czasie w ogóle nie przebywał w Auschwitz. Ale to nie był przypadek Turskiego. Skoro ostatniego dnia sierpnia 1944 r. na rampie stał przerażony żydowski nastolatek, który wiedział zbyt dużo, żeby skorzystać z błogostawieństwa nieświadomości – niech zostanie tak na wieki wieków. I skoro tak bardzo się bał, że wzrok miał wbity w oficerki lekarza SS, nie ma sensu spekulować ani ubarwiać *post factum*...

Ta nieprzeciętna skrupulatność brała się nie tylko z jego powojennych studiów historycznych, lecz także z własnego doświadczenia, które potwierdzało, jak tajemniczym i nieokiełznanym fenomenem jest ludzka pamięć. Otóż przez dwadzieścia powojennych lat – poza kilkoma zaledwie epizodami – Marian Turski nie pamiętał nic z gehenny, którą przetrwał w Auschwitz, Buchenwaldzie i Terezynie. Amnezja utrzymywała się aż do 1965 r., gdy Szmuel Stefan Krakowski, jeden z jego obozowych przyjaciół, urządził spotkanie w rocznicę wyzwolenia. Naławszy wódki, wzniosł toast za Mariana, który uratował mu życie podczas transportu do Buchenwaldu: „Ludzie masowo umierali. Wszystkie trupy wrzucano do jednego kąta. Ja też byłem w tym kącie, zupełnie wycieńczony, i w pewnym momencie któreś zwłoki mnie przykryły. A ty zacząłeś krzyczeć: – Tam jest mój brat, udusicie go. Ludzie odgarnęli te trupy, a mnie uwolniono – opowiadał Krakowski zdumionemu Turskiemu, który nic a nic nie pamiętał. Następnego dnia jednak poprosił, żeby przyjaciel opowiedział o tamtych obozowych miesiącach. Pamięć zaczęła wracać...”

Oczywiście to przywiązanie do prawdy przejawiało się także w sprawach o wiele ważniejszych niż wiarygodność własnych wspomnień. Po 1989 r. Marian Turski odważnie wspierał publiczną weryfikację liczby Ofiar Auschwitz z nieprawdopodobnych czterech milionów, błędnie ustalonych tuż po wyzwoleniu przez sowiecką komisję i bezmyślnie utrwalanych przez komunistyczną propagandę. Z uporem ostrzegał, że drastycznie zawyżone statystyki to woda na młyn dla negacjonistów. A co najważniejsze – na prawdę zasługują zarówno żywi, jak i Umarli.

Jako jeden z filarów Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej i Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego należał do tych, którzy promowali zasadę zachowania autentyzmu na terenach dawnych obozów koncentracyjnych i zagłady. A czynili to tak długo, konsekwentnie i skutecznie, aż autentyzm stał się niepodważalnym standardem, i to nie tylko w Polsce. Marian Turski popierał ideę badań archeologicznych w Sobiborze, Płaszowie i Treblince – w przekonaniu, że każdy odkryty artefakt czy odcisk topografii obozu niweczy zamiar sprawców, żeby po Ofiarach i po Zagładzie nie pozostał żaden ślad.

Jak wielu Ocalałych czuł się bowiem dłużnikiem tych, których zamordowano. Był tego świadomy od samego początku, od tamtego sierpnowego dnia na rampie w Birkenau:

Rozglądam się: w mojej grupie są sami mężczyźni, na oko – zdrowi, w większości młodzi... To dobrze – pojawia się refleksja... Nasza grupa, tych mężczyzn, głównie młodych, to jednak mniejsza część transportu. W większej części transportu dostrzegam starszych i dzieci, i ludzi mizernie wyglądających – to źle, myślę, ale podświadomie drąży mnie egoistyczne (czy rzeczywiście egoistyczne?) uczucie, że miałem szczęście znaleźć się po selekcji w „dobrej” grupie...

Tak, to był jego najszczęśliwszy dzień, ponieważ wyciągnął los życia – wprawdzie krótkoterminowy, ale w tych okolicznościach bezcenny. Nigdy jednak nie zapomniał o większości, która szła do komór gazowych – pozbawiona głosu, skazana na wymazanie z ksiąg życia i pamięci. To tym ludziom poświęcił początek swego ostatniego wielkiego przemówienia, które wygłosił w 80. rocznicę wyzwolenia Auschwitz:

Jest rzeczą zrozumiałą, nawet oczywistą, że ludzie, że media do nas się zwracają, do tych, którzy ocaleli, abyśmy podzielili się z nimi wspomnieniami. Ale nas była zawsze mała, mniejszość [...]. Dlatego sądzę, że nasze myśli powinniśmy skierować ku olbrzymiej większości, ku tym milionom ofiar, które nigdy nam nie powiedzą, co przeżywały, co czuły, ponieważ pochłonęła je Zagłada...

Mówiąc dokładnie, poświęcił im – i to nie wyłącznie Ofiarom Holocaustu – nie tylko początek tego przemówienia, lecz także olbrzymi kawałek własnego życia po Auschwitz. Jako szef działu historycznego tygodnika „Polityka”, nieprzerwanie od 1958 r. aż do śmierci, czym zapewne ustanowił redaktorski rekord świata, z otchłani dziejów wyłowił tysiące zapomnianych ludzi i wydarzeń. To on wymyślił i przez dziesięciolecia prowadził konkursy o Nagrodę Historyczną „Polityki”, promujące książki i autorów, którzy nie dali się urawniłowce. W latach 90. zaangażował się w działalność Zarządu Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny, ale jego największym (namacalnym) dziełem jest Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Powtarzał, że doznał większego błogosławieństwa niż Mojżesz, który Ziemię Obiecaną zobaczył tylko w oddali, podczas gdy on, Marian Turski, przekroczył próg wymarzonego muzeum. I nie było w tych słowach retoryki ani kokieterii, lecz olbrzymią radość ze spełnionego obowiązku. Żeby to zrozumieć, wystarczyło się wsłuchać w jego słowa w dniu otwarcia wystawy POLIN, w październiku 2014 r., gdy wprost zwrócił się do swoich Bliskich:

Mój Ojciec, mój Bracie, którzy zostaliście zagazowani. Ja, który przeżyłem Auschwitz, chcę powiedzieć Waszym ceniom, ceniom tych wszystkich, tak jak Wy zamordowanych: „Mir zen do! Jesteśmy tu!”.

Powtórzę za poetą: nie całkiem zmarliście. Moje stowarzyszenie, Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny, wychodząc na-
przeciw tęsknotom ocalałych z pożogi, w partnerstwie z Minister-
stwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz z miastem stołecz-
nym Warszawa, zbudowało dom, w którym odtwarzana jest pamięć
o Was, o Waszych, o naszych, o moich przodkach i poprzednikach.
Pamięć o tym, jak żyli, co tworzyli, o czym marzyli, za czym tęsknili.

Marian Turski miał zawsze przed oczyma szerszy horyzont niż ten,
który jest wyznaczony przez własne doświadczenie. To właśnie on jako
pierwszy przekonał Międzynarodową Radę Oświęcimską, by zaopie-
kowała się także innymi – poza Auschwitz – Miejscami Pamięci. Współ-
tworzył pierwszy raport poświęcony tym dawnym obozom, a potem
przez lata mobilizował do tych działań mnie, jako sekretarza MRO.
Każdy, kto dziś odwiedza godne upamiętnienia i wartościowe wystawy
w Bełżcu, Chełmnie nad Nerem i Sobiborze, powinien wiedzieć, że bez
Mariana Turskiego to wszystko by się zapewne nie stało.

Podobnie było z KL Plaszow. Nieustannie dopingował i inspirował
szlachetnych ludzi, którzy temu Miejscu Pamięci oddali talent, wiedzę
i energię – nie chcąc, by jego istnienie ograniczało się do zielonego
terenu rekreacyjnego z pięknym pomnikiem. Marian Turski mądrze
radził, a gdy trzeba było – krytykował. Gdy obradowała Rada Społeczna
ds. utworzenia Muzeum KL Plaszow i zabierał głos, jego słowa miały
potrójny ciężar.

Zapewne do historii przejdzie jako ten, który w styczniu 2020 r. przed
Bramą Śmierci, prowadzącą na rampę w Birkenau, ostrzegał świat, że
Auschwitz nie spadł z nieba – i powtarzał za swoim przyjacielem Roma-
nem Kentem, byśmy kierowali się XI przykazaniem: Nie bądź obojętny!
Jego słowa odbiły się globalnym echem i dla milionów ludzi są jak
latarnia morska. Zwłaszcza że od tego czasu przez świat przetaczają się
coraz groźniejsze sztormy i huragany.

Czy to znaczy, że tamte jego słowa, wypowiedziane w 75. rocznicę
wyzwolenia Auschwitz, poszły na marne? Padły na ziemię nieurodzajną?

Należałem do świadków jego ostatnich miesięcy. Był bardzo zanie-
pokojony tym, co dzieje się na świecie i ze światem. Z pełną odpowie-
dzialnością mogę powiedzieć, że z medycznego punktu widzenia nie
powinien był jechać na 80. rocznicę. Ale chciał przemówić raz jeszcze,
zdążyć przed zbliżającą się śmiercią. To wręcz trzymało Mariana przy ży-
ciu, jak ostatnie słabe włókna. Tylko siłą woli przyjechał i stanął w miej-
scu, gdzie w sierpniu 1944 r. przerażony żydowski nastolatek, jeszcze
zamknięty w byłym wagonie, już wiedział, co się za chwilę wydarzy.

Teraz miał lat 98 i młodszym od siebie chciał dać siłę i nadzieję:

Drodzy przyjaciele, od co najmniej dwóch tysięcy lat naszej cywili-
zacji towarzyszy wizja apokalipsy. Oto pojawiają się cztery jeźdźcy
apokalipsy: wojna, zaraza, głód i śmierć. Ludzie są porażeni strachem,
sparaliżowani tym strachem. Czują się całkowicie bezradni.

Co robić? Chciałbym tutaj zacytować pieśń, którą na pewno wielu z was rozpoznałoby, gdybym ją zanucił. Nie ma obawy, nie będę śpiewał. [...] Autorem jest Rabi Nachman z Bractawia, ale znany bardziej jako Rabi Nachman z Humania, ponieważ tam kazał się pochować między grobami ofiar pogromu: „Cały nasz świat, świat, nasz świat jest niczym bardzo wąski pomost. A co najważniejsze: Nie bać się wcale!”. ■